



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ZAPOMNIANY ŚPIEWAK MIŁOŚCI

przez

Antonia Pileckiego.

„Raz wsiadłszy, jak Elias, w rydwan namiętności,
Chcę ogniem namiętności żywem wejść do nieba.“

Tak wyrzekł o sobie przed pięćdziesięciu mniej więcej laty utalentowany śpiewak, epigon wielkiej epoki romantyzmu, jeden z tych, co pragnęli snuć dalej wątek szczytnych natchnień, które stworzyła plejada olbrzymów nieśmiertelnej pieśni naszej. Dla lepszego zrozumienia tego poety, którym jest Ryszard Wincenty Berwiński, musimy zacząć od pewnych uwag natury ogólnej. Romantyzm francuzki ubóstwiał namiętność, ową niesforną, nieokiełznaną siłę ducha ludzkiego, swawolną, gardzącą bezbarwnem tłem życia szarego, pospolitego, a piękną i podniosłą, gdy się na szczyty geniuszu wzniesie. Romantyzm ten rzucił w niezmiernie, tajemnicze głębie duszy człowieczej moc pragnień szczytnych i silnych: to chmurnych, to słonecznych, to drgających miłością, to pełnych goryczy i sarkazmu. Chciał on ją uskrzydlić do szerokich loków, wyzwolić z formuły bezdusznej... W miłość dla kobiety pragnął teńać siłę, zapal, szczerostą i prawdę. Wytworna, elegancka, ale bezduszna kokietka salonów miała ustąpić miejsce bogini piękna, rozkoszy, uniesień namiętnych, zachwyty ciała i ducha.

Nasza poezja romantyczna w odtworzeniu miłości innemi szła drogami. Natchnienie wieszczów uduchowiło ją, podniosło na wyżyny ideałów. Wprawdzie i nasi śpiewacy, równie jak lu-

tniści nadsekwańscy, stworzyli w pieśni entuzjazm dla uczucia miłości, ale w entuzjazmie tym krew nie wre szaleńcem namiętnym; duch tylko się zapala, klęka ze czcią przed kobietą i śle jej gorące uwielbienie. Postać niewieścia staje przed wzrokiem wieszca w uroczym stroju niebianki, w aureoli uczuć nadziemskich, ukochana, uwielbiona miłością duchów bezcielesnych. A gdy na nią nawet z ust kochanka-poety spadają gromy przekleństw za nieślalność i zdradę, to i w przekleństwach tych jest moc entuzjazmu, uwielbienia, moc wzniosłych pragnień duchowych, a ból zawodu miłosnego spogląda z wiarą tęsknym wzrokiem w życie przyszłe. Miłość u romantyków naszych przemawia do duszy a nie do ciała kobiety. Zerwawszy z elegancko zmysłowemi, zalotnemi, sztucznie sielankowemi uczuciami muzy dawniejszej, nie pada ona w ramiona szczerzej, wolnej miłości, ale, oczyszcziwszy się z pragnień ziemskich, wzlata w niebo zachwyty duchowych.

Berwiński, wzięwszy do ręki lirę swych wielkich poprzedników, zanucił pieśń miłosną w odmiennym nieco tonie. Podniósłszy z prochów zapomnienia tę lirę, która wśród łanów Wielkopolski rozbrzmiewała, mam zamiar rozbudzić w niej echo pieśni na tych tylko jej strunach, które nam o miłości śpiewały, a zaledwie z lekka w razie niezbędnej potrzeby dotknąć innych, inne uczucia odtwarzających. Dźwięki tej pieśni przypomną nam niezawodnie nutę, na którą wielki romantyzm nasz był nastrojony, ale jednocześnie wybuchnie w nich ten płomień namiętności, który wrzał w poezji romantycznej francuzkiej.

Gdyby zaś rozmiary mojej pracy pozwoliły poruszyć wszystkie struny harfy śpiewaczej Berwińskiego, usłyszeliśmy w niej szanowni moi czytelnicy echo tych szerokich dążeń, które rozbrzmiewały nad Sekwaną w chwilach wielkich przewrotów na schyłku zeszłego i w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia.

Profesor Antoni Bądzkiewicz, pisząc nader pracowite, sumienne i wielu trafnymi uwagami bogate studyum o naszym poecie, nie dopatrzył tych wpływów, i dla tego nie widzi w pieśni Berwińskiego nic więcej nad objaw wyjątkowego indywidualizmu, a patrząc na ten indywidualizm wzrokiem odmiennych przekonań, widzi w nim nawet chorobę ducha, który zszedł na manowce.

Nastrój poety, zrodzony niezawodnie z ducha, który powiał z ziemi francuzkiej, rozbudził w jego pieśni, obok entuzjazmu, silny krytycyzm, pogardę dla objawów szarej pospolitości życia, pogardę dla form jego pustych, nieszczerych, obłudnych, a wreszcie sarkazm i gorycz. Niektóre z tych pierwiastków zabarwiły sobą i pieśń miłosną Berwińskiego. Pełne zapалу i szczeroci serce poety, w połączeniu z wyobraźnią niezwykle plastyczną, umiejącą pochwycić rzeczywiste zarysy życia, odtworzyło w pieśni świat uczuć, które żywym źródłem naturalnej szczeroci wytryskują z głębin ducha, a nacechowane są prawdą, siłą uniesień, a często nawet głębią refleksyi poetycznej. Śpiewak ten ukochał kobietę całą, z ciałem jej i duchem; niekiedy śle jej czysto ziemskie zachwyty, ale i te zachwyty mają moc, która nie pozwala im zstąpić w niziny trywialności, mają tę głębię, nad którą staje w zadumie myśl ludzka, a mają nadto oblicze prawdy nieśmiertelnej, wiecznie pięknej, wiecznie żywej...

Nim przystąpimy do szczegółowego rozbioru erotyków Berwińskiego, rzućmy choć pobieżnie wzrokiem na cały obszar jego twórczości, wsłuchajmy się w tony jego pieśni! Oto widzimy, jak go z Byronem unosi „Czajld Haroldowska fala;“ słyszymy płacz jego i okrzyk bólu krwawego w słowach poezgania. Później widzimy go, jak razem z Szekspirowskim Hamletem zapada w bolesną zadumę zwątpień, jak płacze na

grobie swej kochanki, która się nazywa miłością i prawdą, a w płaczu tym pyta:

„Czem jutro będę? Odwalcie ten kamień,
„Spytajcie prochu: czem jest, o czem marzy?
„Marzyć?... i o czem, o czem marzyć w grobie?”

Za Hamletem idzie Faust Goethego i woła:

„Do ciebie w ten czas wyciągnąłem ręce,
„Matko naturo, coś zdrojem uroków
„Poila niegdyś serce niemowlęce—
„Lecz nie piękności czarownych widoków,
„Ni woni kwiatów, ni szumu potoków,
„Pragnąłem tylko światła i nauki,
„Prawdy szukałem! Zwidziłem pracownie
„Najczarowniejszych arcydzieł twej sztuki,
„Księgi tajemnic twoich znam dosłownie,
„I wszystkie twory twoje znam z imienia
„I wszystkie siły—prócz siły tworzenia!”

I oto wraz z bohaterem Goethego poeta nasz „rzuca książki i wchodzi w świat żywy.” Tylko, niestety, nie znajduje już w nim utraconej młodości. W „Ostatniej spowiedzi” lira jego milknie i, o ile zbadać można, niewiele już razy słabszym tonem zadźwięczała. Życie poety pogrąży się w mrokach cierpienia, zawodów, sieroctwa, upadku ducha, aż wreszcie w roku 1879 zapada w wiekiście cienie śmierci.

Zwracając się do szczegółowej charakterystyki erotyków Berwińskiego, musimy przede wszystkim zaznaczyć, że przez wszystkie nuty jego pieśni miłosnych przeszło żywe, gorące serce poety. A miłość, którą te pieśni odtwarzają, miała różne fazy. W pierwszej buja ona jeszcze na wyżynach idealizmu, jak to zazwyczaj w życiu bywa, gdy po raz pierwszy serce nasze do kobiety przemówi. Wówczas dusza młodzieńcza marzy o „niewcielonej,” „serca kochance,” postaci jej wyidealizowaną widzi wysoko, w niebiosach swoich ideałów, nazywa ją „swojego nieba mieszkaniczką...” Tam jednak, na tych wyżynach uczucie miłości długo pozostać nie może; człowiecze serce poety przywołuje ukochaną, aby porzuciła „niebieskie stropy,” błaga ją:

„Raz tylko twoje anielskie stopy
„Niech ziemskiej dotkną krawędzi.”

Pragnie ją zobaczyć w rzeczywistości taką, jaką widział „w snów szacie.” Żyjąc jeszcze w uroczych złudzeniach romantyzmu, ofiaruje kochance miłość prawdziwie idealną, wyraża wstręt do miłości zmysłowej w wyrazach, w których bezwiednie jednak drga nuta namiętności:

„A paść jej licem nie będę śnieżnym,
„Tak, jakby innym przystało;
„Ni rąk uściskiem,—okiem lubieżnym—
„To wszystko ciało—precz ciało!”

Obiecuje ukochanej, że otworzy przed nią „magiczną księgę swej duszy.”

Oto treść wiersza p. t. „Pierwsze sny.” W młodzieńczym tym utworze czuć jeszcze gdzieś, że poecie brak sił do lotu, więc zapożycza się od większych mocarzy pieśni, a głównie od Mickiewicza, z którym razem grozi kochance:

„Pomnij, gdziekolwiek—tu i tam—wszędzie,
„Wszędzie i zawsze przy tobie—
„Cień mój za życia ścigać cię będzie—
„A niepokoić cię w grobie!”

Z naśladownictwa i z braku siły twórczej poeta wpada w nieszczerłość i pozowanie, pieśń jego rozbrzmiewa nutą fałszywą, gdy głosi nam z emfazą:

„Jeśli od światła, co pała w głębi,
„Żrenica twoja nie zślepieje;
„Jeśli od mrozu, który tam ziębi,
„Serce ci twoje nie skrzepnie.” i t. d.

Nie wierzymy tym słowom poety, bo wiemy, że młodzieńcza jego natura duchowa pełną była zdrowia i sił żywotnych, że w głębi jego ducha

nie działy się podobne okropności, jakie opisuje, że to, co nam tu powiada, jest tylko figurą poetyczną, przesadną, naśladownictwem tego, co gdzieindziej wyczytał.

Po tym „pierwszym śnie” miłości, zwolna serce poety budzić się zaczyna do życia rzeczywistego, do uczuć szczerze ludzkich, a wyobraźnia myśl jego do samodzielniejszego lotu uskrzydla. I oto mamy przed sobą „Pierwsze zbudzenie.” Poeta prośbami swemi „wymodlił” już kochankę „z nieba,” „przybliżył ją do ziemi” i mówi do niej:

„Zaledwie się jej dotkła anielska twa szata,
„Wcieliliś się w zmysłową postać tego świata,
„I byłaś na tym świecie, jak jest każda inna,
„Choć od każdej piękniejsza i więcej niewinna,
„Więcej uboga w próżność—a w miłość bogata!”

I mogła, jak mówi dalej poeta, ta ukochana być dla niego, „czem dla pszczołki jest listeczek róży,” mogła uchronić od zepsucia serce jego, żarem uczuć przepalone. Ale widocznie stało się inaczej, bo poeta z bólem zawołał:

„Czemuż jak dąb wyniosły,—dumny wniebowzbi-
[ciem,
„Chciałem się mierzyć z dzikich namiętności
[wyciem?
„Zmierzyłem się, — trząśł piorun — dąb ogniem
[żądź spłonął,
Ugasić go nie zdołał — zachwiał się i runął.”

Wstęp ten, pełen siły i namiętności, niezbyt jasno odtwarza nam dzieje uczuć miłosnych. Nie rozumiemy, co właściwie w dziejach tych zaszło. Mówi nam dalej poeta:

„O biada, biada tobie—tajemniczy kwiatku,
„Ciebie owiał straszliwie szum jego upadku!
„I nim zwiędną twe lica,—nim zgasną twe oczy,
„Pierw robak niepokoju twe łono roztoczy,
„A woń wezmą niebiosy—jak duszę anioła,
„Kiedy ją Bóg z pielgrzymki na wieczność po-
[woła!”

Z tego niejasnego, nieharmonijnego obrazu niewiele się dowiadujemy. Zdawałoby się, że cały szereg erotyków Berwińskiego odtwarza nam jeden ciąg dziejów miłości; zdawałoby się, że wiersz, o którym mówimy, ma nam wypowiedzieć pierwsze uświadomienie i ucielesnienie tego uczucia; w następujących utworach twórczość poety wypływa na szersze pole wrażeń; tymczasem na czoło zbudzonego do słonecznych uczuć miłości kochanka upada odrazu grom namiętności, od której spłonął duch jego, dąb wyniosły runął, a szumem swego upadku obwiał serce ukochanej kobiety. Cóż po za tem mogło nastąpić? W życiu przesył, rozczerowanie, ale tylko wtedy, gdy prawdziwa miłość wygaśnie. A co nastąpiło według słów poety? Posłuchajmy!

„Ty zwiędniez, a ja będę, jak śpiewak szalony,
„Co chciał jednym akordem swą duszę upoić,
„I uderzył po strunach i wraz pękły struny;
„Dźwięk rozbrzmiał — lecz niesforne zostało mi
[echo
„I arfa, której nigdy nie zdoła nastroić,”

Więc byłoby to nie „pierwsze zbudzenie,” lecz raczej ostatnie, smutne akordy pieśni miłosnej, akordy, wpadające w dysonans... Zbyt silnie uderzone struny pękły i z pieśni pozostało tylko niesforne echo. Bądźkiewicz powiada, że poeta nasz chciał odtworzyć w tej pieśni „dzieje pierwszego zawodu,” ale gdzie ten zawód, i co go zawiodło: uczucie, czy kochanka?... Mnie przedstawia się to inaczej. Poeta chciał powiedzieć, że miłość idealna, ten „sen z aniołami,” gdy zstąpi na ziemię, gdy się zbudzi „zawczasnie,” gdy kochanek chce „spełnić do dna na jawie” „kielich rozkoszy, miedopity we śnie,” gdy ukochana wcieli się w „zmysłową postać tego świata,” naówczas płomień namiętności spali miłość na popiół, spali ducha, który był dla niej świątynią... Prawdą! ale to tylko wtedy, gdy sercem wyłącznie burza namiętności zawładnie, a nie miłość prawdziwa;

taka zaś burza nie zawisa nigdy nad snem uroczym pierwszej młodzieńczej, idealnej miłości, nie rozbudza serca gromem, ogniem żądź go nie spopiela.

Z pod chmurnego nieba uczuć, dokąd zaniósł nas posępna wyobraźnia poety, wychodzimy na jasne słońce zwykłych dziejów serca ludzkiego, które z niezwykłym realizmem i plastycznością odtwarza nam wyobraźnia poety w wierszu p. t. „Wspomnienie.” Zstępujemy z wyżyn romantyzmu, z obłoków marzeń do krainy rzeczywistości. Zmysły człowieka nastrojone są do porywów ducha poety. Mamy przed sobą utwór niezwyczajnie oryginalny w treści, choć w pojedynczych zwrotach tu i owdzie przypominający nam muzę Mickiewicza. Żaden z poetów przed Berwińskim, a nawet i żaden po nim nie rzucił tak realistycznych rysów na tło postaci ukochanej jak to poeta nasz uczynił:

„Niewiasta jak lilija, z której puch i kwiecie
„Burza losów otrząśnie—lub robak roztoczy;
„Z żalem każdy przechodzień zwraca na nią oczy,
„A żaden jej nie wróci nadobnej sukienki!
„Takie są tej niewiasty przekwitłe już wdzięki,
„Przygasłe rannej jutrzni promienie w jej oku,
„Lecz jest w tem oku inna potęga uroku.
„Taka w niem boleść duszy, w twarzy taka bla-
[dość,
„Że choćbyś wieki patrzył, tobys nie miał za-
[dość!”

Wizerunek to choć realistyczny, ale uderza swą oryginalnością, prawdą i nie jest pozbawiony wdzięku. W jednym tylko wyrażeniu „przekwitłe już wdzięki,” poeta wpada w trywialność. Ustęp ten razi, jak zgrzyt dysharmonii w pięknej melodii. Za chwilę jednak przebaczymy śpiewakowi tę ztratę smaku artystycznego, i szczerzy zachwyt nas ogarnia, gdy widzimy, jak na gasnące promienie piękna ziemskiego rzUCA światło wyższej siły moralnej, gdy mówo uszlachetnieniu postaci nie wieściej przez wyraz boleści ducha.

Uwielbienie duchowej strony kobiety inaczej się przedstawia u Berwińskiego, niż w poprzedniej i współczesnej poezji romantycznej. Niema tu ubezciesnienia kobiety i miłości, wzniesienia jej ponad ziemię—w błękity; widnieje natomiast postać czysto ziemską, ludzką, tylko uduchowioną, uszlachetnioną przez boleść duszy.

U stóp takiej postaci kobiecej widzimy młodzieńca, który „dziecinne jeszcze ma lata.” Jasnny poranek życia wpatruje się z zachwytem w chylące się ku zachodowi południe. Nie jest to miłość Słowackiego dla Ludwiki; tamta była kaprysem dziecka-marzyciela, bez żądź młodzieńczych, bez gwałtownych uniesień, zrodzona w fantazyi, w miłości własnej i dumie... Tu stoi przed nami młodzieniec-mąż, z rumieńcem żywej krwi na licach i z żądzą pełnego ukochania kobiety.

Co jest niezmiernie oryginalnem we „Wspomnieniach” Berwińskiego, to ten krytycyzm w miłości, który pozwala zakochanym oczom widzieć w drogiej osobie cienie, obok światła, pewien odcień brzydoty cielesnej, obok piękna duchowego. Krytycyzm ten zdejmuję z oczu kochanka bielmo ślepoty, uczuciom jego daje siłę trzeźwości i głębokiego spokoju. Od tej trzeźwości i od tego spokoju wiałby chłód niezawodnie, gdyby nie to, że poeta ukochał ducha kobiety. W życiu najczęściej bywa przeciwnie. Niekiedy jednak jednostki natury podnioslejszej spoglądając w twarz kobiecą, potrafią wyłaznić w niej to piękno, które duch na obliczu ludzkim wytwarza. Zdarza się przecież, że przedmiotem najgorętszej miłości bywają kobiety wcale nie piękne, a obok wielu klasycznie pięknych, lecz zimnych, bezdusznych twarzy, tłumy z zachwytem zatrzymują się przez chwilę, lecz niebawem idą dalej, i żadne serce na ich widok żywszem tętnem nie uderzy.

Miłość, jaką odtwarza nam poeta we „Wspomnieniach,” wytryska niezawodnie z podniosłych natchnień, zstępuje z wyżyn ducha. Nie zacierając jednak na obliczu swem tego szlachetnego stygmatu, schodzi powoli na ziemię i z żywszem

uderzeniem serca ludzkiego, z gorętszym tętnem krwi zbliża się do ukochanej istoty, a wtedy widzi w niej to, co nam opisuje poeta:

„Włos jeszcze nietrefiony w swobodnym nieła-
[dzie,
„Na czole jakaś senna chmurka zadumania, —
„Lekka suknia zaledwie pierś białą osłania —
„Zda się, że przez nią oko wszystkie wdzięki
[skradnie,
„Że pod nią złowi ucho, utajoną skrycie,
„Każdą perłę miłości, każde serca bicie!

Agdy się dotknie ręki ukochanej, niepodobna aby „krew nie zawrzała w żyłach, jak zarzewie“, i oto miłość prawdziwa, pełna, ludzka wzięta „na skrzydłach archanioła—do nieba rozkoszy.“

Kiedy w dziejach miłości nadeszła chwila stanowcza, gdy młodzian z czary jej najśodszy nektar wypił, wówczas nieśmiały kochanek z dziecka lęklwego „zrobił się Atlasem.“

„Niebo całe w swoje ujawszy ramiona,
„Niebo całe w jej wdziękach przyciskał do łona!“

A na zakończenie poeta wkłada mu w usta okrzyk szczerego, namiętnego zachwyty:

„Szczęśliwy, o! szczęśliwy—na czyjem ramieniu
„Alabastrowe dłonie na chwilę zawisły,
„I usta koralowe do ust się przycisły,
„I oczy w niezgłębionym tonie spojrzaniu!
„Najszczęśliwszy, kto w takim duszy zachwy-
[cieniu
„Na wieki oczy zamknął lub postradał zmysły!“

Przerwała się złota nić miłości, „świat zazdrośny zajrzał „kochankom“ dni szczęśliwych, jak starzec syt życia zajrzy młodym rozkoszy i złotych dni wiosny.“ Poeta je odtworzył w pieśni, a tem odtworzeniem rozkoszuje się; znać, że płomień ich nie zagasł we krwi jego i w sercu. We wspomnieniach jego niema mdłej melancholii smutku, we mgle której tylu poetów-kochanków widzi dzieje swej anemicznej miłości, gdy słabą jej nić zazwyczaj własną ręką zerwali i rzucili ją w męty rozczarowania, przesytu. We „Wspomnieniach“ Berwińskiego czuć siłę niewygasłego uczucia, szczery żal duszy męskiej, który nie rozplywa się we łzach, ale drga mocą, uderza silną pięścią bólu w mogiłę utraconego szczęścia i woła:

„Czemuż pamięć na moje tak głucha rozkazy,
„Ze choćbym po sto razy i po tysiąc razy
„Na jedną chwilę westchnął—potęchnił za tobą;
„Sto cię i tysiąc razy w tejże widzę chwili—
„I wtedy pieszczotami rozmawiamy z sobą,
„Jak niegdyś pieszczotami z sobąśmy mówili.“

Nie mogę się zgodzić z profesorem Bądzkiewiczem, który, porównując „Wspomnienia“ z pieśniami miłosnymi Lamartine'a, a w szczególności z „Chant d'amours“, twierdzi, że obaj ci poeci więcej marzą, roztapiają się w eterycznych obrazach wyobraźni, niż malują rzeczywiste dzieje serca. Bynajmniej, Berwiński odzwierca nam miłość rzeczywistą, w erotykach jego drga żywe serce poety-kochanka, a chociaż może nie idzie wiernie w szczegółach za dziejami własnego serca, to niezawodnie te uczucia, które nam przedstawia, żyją w głębi dusz ludzkich, a nie w rozmarzonej wyobraźni twórczej. To, co profesor Bądzkiewicz nazywa „idealnym marzycielstwem erotycznym przez ciało“, jest raczej pełną, rozbrzmiewającą wszystkimi głosami natury ludzkiej — melodią miłości. Krew w niej kipi, zmysły drgają, a duch, duch nieśmiertelny zawsze nad niemi panuje. Idealista Berwiński nie jest, a marzycielem o tyle, o ile musi nim być każdy poeta i każdy kochanek.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Święta sosna.

Or-otowi
na pamiątkę

Kędy pole, na rozdrożu,
Rośnie sosna karłowata,
Pień swój kryje w bujnym zbożu,
Górą patrzy hen—w dal świata...

Pod gałęzi jej osłoną
Widać otwór mały w korze —
W nim obrazek umieszczono:
Dzieciąteczko z Maryą Boże.

Dżdże jesieni, wichrów szalały,
Wraz z zimową zawieruchą
Część farb starły i splukały,
I pogięły blachę kruchą.

Rdzawe smugi, niby siatka,
Szpecą boskie oba lica,
Ledwie słabo i to z rzadka
Żywsza barwa gdzieś prześwieca...

Kędy gwóźdź wystaje zgięty,
Przytwierdzając blachę cienką,
Widać ziela czarne szczęty
Zmięte, starte na włókienko...

Na znak jaki bogobojna
Dłoń obrazek ów przybiła?
Czy tu kiedy wrzała wojna,
I poległo ludu siła?

Czy tu działa się obraza
Majestatu Pana Boga?
Nawiedziła świat zaraza,
Jak gniew boski nagła, sroga?

Może susza, gradobicie,
Lub też ogień niósł zniszczenie?
Może powódź nocą skrycie
Z chat wydarła ludziom mienie?

Kogo natchnień dobre duchy
Z wizerunkiem tu przywiodły?
Czyj tu jęk pierś targał głuchy?
Czyje słyhać było modły?

Może wdzięczność w dni radosne
Kierowała zbożną dłonią,
Gdy ciosała oną sosnę
Gdzie się wota wiejskie chronią...

Gdzie skowronek o rozświcie
Strząsa z piórek ros paciorki,
Konik polny ćwierka w życie
I dolata głos przepiórki...

Kędy chlebne wonie płyną
Z metalicznym kłósów szmerem,
A nad lśniącą wkrąg równiną
Zorze złotem kapią szczerem...

Dziś—gdy obraz rdza pokryła,
Boskie lica się zatarły —
Magnetyczna jakaś siła
Myśl pociąga w świat zamarły...

Okiem ducha człek okala
Ruń wiosenną bujną, młodą,
Oraz słyszy, jak z oddala,
Rej ptaszęta z sobą wiodą...

Wiatr żywiczne wonie niesie,
W barciach pszczelne bręczą roje, —
Dalej las, jeżyny w lesie,
Mech, konwalje i powoje...

Wiją się wśród mchu, korzeni,
Ścieżki, by tkanina z krosna,
Z brzegu jednej się zieleni
Kilkulatka — smukła sosna.

Wiatr potrząsa jej koroną,
I ku ziemi kibić zgina, —
I pieśń szumi nieskończoną,
Nieskończoną—jak dal sina...

I człek staje oniemiały,
Gdyż poznaje przeczuć mocą,
W latorosli onej małej —
Sosnę starą i sierocą...

I poznaje na jej korze
Obie boskie w świetle głowy;
Dzieciąteczko z Maryą Boże —
Wizerunek, ale nowy,

Tchnący życiem, barw rumieńcem
I prostotą dziwnie słodką,
Umajony wonnym wieńcem;
Habrem, bratkiem i stokrotką.

Kto zawiesił ów obrazek?
Na znak zwykły, czy też cudu?
Trza zapytać starych skazek,
Dawnych legend, podań ludu!

To się tylko widnem staje,
Że gdzie sosny pień tej rośnie,
Swe odwieczne czcząc zwyczaje,
Szumiał niegdyś bór miłośnie...

I że potem topór srogi,
Na litości zimny względy,
Powycinał szlaki, drogi,
Spustoszenie szerząc wszędy...

Że z zagłady tej chaosu
Ocalała tylko jedna,
Uniknąwszy ostrza ciosu,
Sieroténka — sosna biedna...

Topór nie tknął się jej wcale —
Strzegł jej obraz wśród rozdroży:
Marya z Synem w wiecznej chwale —
Lud się uląkł kary bożej...

Wiktor Dzierżanowski...

POCIESZENIA.

OPOWIADANIE

przez

Aleksandrę Łapińską.

I.

— Więc ty chcesz dla zagojenia serdecznej rany w świat się puścić? Ha, może to skuteczne lekarstwo nowi ludzie, nowe widoki! Zapewne, takie brzegi Renu, taki Kair... swoje muszą zrobić, to kwestyi nie ulega, zapewne, zapewne; jakieś piękne czarne lub błękitne oczy włoszki czy tam angielski ulżą sercu, naturalnie.

— Tylko, że, widzisz, sama rana to pozostanie; póki plaster na niej leży, póty, zdaje się, że nie boli, odejmiesz, a tu czujesz, jątrzy, tak jak

bliskiej duszy, secundo—ogromna potrzeba bratniego uścisku i jednego choćby dobrego słowa od kogoś, co ma taką samą jak moja krew, tertio — tęsknota za powiewem naszych pól, i tam dalej i tam dalej, słowem, źle mi było wśród obcych, a chce się swoich!

Julcia wysłuchiwała całej tej tyrady, troszkę nieufnie na mnie patrząc, ale ja wzrok jej wytrzymałem i nawet powieki mi nie drgnęły. Bo, ostatecznie, po tem mojem sam na sam z naturą, ja znów tak zupełnie nie kłamałem; prawda, że ta tęsknota do swoich ludzi i do swojej ziemi przed chwilą dopiero odezwała się we mnie, ale w każdym razie czułem ją wtedy właśnie, kiedym o niej mówił.

— No, niechaj i tak będzie, synu marnotrawny, — powiedziała z tym swoim przesłicznym uśmiechem na ustach, i dodała:— a teraz jedźmy! tam konie na mnie czekają, a i mnie do swoich tęskno!

I chwyciwszy stojącą obok walizkę tak szybko, żem jej uprzedzić nie zdołał, pobiegła prosto sienią ku stacyjnemu podwórzowi.

Ja szedłem za nią i obserwowałem jej figurę i ruchy. Wzrost miała średni i była bardzo kształtna, cieniuchna w pasie i smukła, szła prędko i tak naturalnie, jakby jej w myślach nawet nie błysło, że tam ktoś za nią idzie i na nią patrzy.

Zatrzymała się na schodkach, przed którymi stał mały wolancik parą tęgich siwków zaprzężony, siedzący na koźle wyrostek, ujrawszy Julcię, zdjął czapkę. Widać było, że na powitanie chce coś powiedzieć, ale mileżał, znać onie miała go radość tryskająca mu z oczu i z uśmiechu ust.

— O! Antek! — zawołała Julcia wesoło. — Jak się masz! A, jużś na fornalą pasowany?

— A ino, panienusiu!

I zeskoczył raptem z kozła i pocałował Julcię w rękę, a ona jakimś bardzo pocziwym ruchem pogładziła go po twarzy, mówiąc.

— To widać pani rada z ciebie! Dobrze, Antku, dobrze! Zawieź że nas teraz pięknie do Zahorza.

Antek walizki nasze umocował w tyle wolantu, wskoczył na kozioł, z bata trzasnął, i pojechaliśmy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z RZYMU.

W Lipcu.

Słońce oblewa nas gorącymi strumieniami swych rozpalonych promieni, więc kto może, ucieka z Wiecznego miasta w góry, albo nad morze, byle trochę odetchnąć świeżem powietrzem. Najpierw opuszczają Rzym różne kollegja, złożone w znacznej części z cudzoziemców i spędzające letnie miesiące w okolicznych wioskach. Najwrażliwsi na klimat tutejszy są Niemcy i Anglicy, nie mówiąc już o murzynach, dla których powietrze rzymskie jest zabójcze.

Papież Leon XIII-ty, dla którego powietrze górskie w jego uroczym Castel Gaudolfo było zbawienne, nie opuści Watykanu, jak nie opuści go żaden z papieży, dopóki będą trwały zatargi z władzą państwową. Ojciec Święty cieszy się dobrem zdrowiem i używa codziennie przechadzki w cienistych alejach ogrodów watykańskich i czyta dni całe w pałacyku letnim, zwanym „Casino di Papa.“

W ostatnich dniach Czerwca zebrała się w Rzymie kongregacja wyznań, pod przewodnictwem znakomitych kardynałów: Parocchiego i Alojzego Maselli. Na obradach poruszano sprawę beatyfikacji i kanonizacji kilku błogosławionych; między innymi zajmowano się procesem apostołskim, odnoszącym się do cnót i cudów świętoblwej Dziewicy Orleańskiej (Joanny d'Arc).

Rozruchy, których widownią były do niedawna Włochy—o czem poprzednio donosiliśmy—przyniosły największą szkodę tym, którzy w owych rozruchach wcale udziału nie brali, t. j. katolikom i dziennikarstwu katolickiemu. W krytycznej chwili aresztowano niewinnych kapłanów katolickich. W Medyolanie np. aresztowano najznakomitszego kaznodzieję włoskiego, Mgr. Gotharda Scottona. Całą winą jego było, że darował komuś wizerunek Ojca Św. z odpowiednim napisem na drugiej stronie; napis był niewinnej natury, ale się wydał komisarzowi policyi podejrzanym.

Konfiskaty czasopism katolickich i kary nakładane na wydawców sypały się jak z rogu obfitości. „My sami—pisze w ostatnim numerze „Osservatore Romano,“ którzy z umiarkowaniem zawsze piszemy, nie wiemy, jaki nas los czeka. W razie gdyby i u nas zaprowadzono stan obłączenia gotowi nas podobnie, jak się to działo w Medyolanie—zakuć w kajdany i jak spolitych zbrodniarzy wlec przed sędziów, których nigdy nie znaleźliśmy. Musimy ten stan rzeczy zaznaczyć, aby nasi czytelnicy w kraju i za granicą mogli wiedzieć, dlaczego najżywniejszych spraw nie tykamy, lub co najwyżej na krótkich zapiskach się ograniczamy. Wolność prasy dziś już we Włoszech nie istnieje.“

Zmiany ministeryum we Włoszech nie pozostają bez wpływu na losy zgromadzeń i towarzystw katolickich, to też chociaż katolicy żadnego udziału brać nie chcą w wyborach i życiu politycznym w ogóle, mimo to jednak baczną zwracają uwagę na osoby, sterujące nawą państwową i bieg spraw politycznych. I tak obecnie mówi się wiele o nowych rządach na Monte Citorio. Nowy gabinet włoski pod prezydenturą Luigi Pelloux'a zaciekawia, — co z sobą przyniesie? przyszłość okaże.

O niedawnych trzęsieniach ziemi dochodzą z całego kraju coraz to nowsze wieści. Najwięcej ucierpiało miasto Reeti, stare sabińskie Rete. Po lekkim, sekundę trwającym wstrząśnieniu, nastąpiło trzęsienie silne, 8 sekund trwające, które mieszkańców w nabawiło panicznego strachu. Zaczęto uciekać z domów. Wielka liczba zabudowań runęła w gruzy. Najwięcej uszkodzone są: ratusz, teatr, sąd, kasa oszczędności, koszary, gimnazya i pałace magnatów, wreszcie liczne kościoły. Naoczny świadek wypadku tak go opisuje: „Miasto było elektrycznie oświetlone, skutkiem trzęsienia prądy się poprzerywały i w jednej chwili zapanowały w mieście egipskie ciemności. Całe masy ludzi rozpaczających i bezprzytomnych tonęły w tych ciemnościach, co temu smutnemu obrazowi dodawało jeszcze większej ponurości i grozy. Trwoga była tak wielką, że niektóre rodziny w kilkanaście minut po katastrofie nie chciały wracać do swych mieszkań. Zarząd miasta sprowadził wozy kolejowe, a rząd dostarczył namiotów i baraków dla ludzi pozbawionych dachu.“

W Umbryi i Abruzzach są ofiary w ludziach. W Citto Ducale zawałiła się starożytna brama tryumfalna oraz wiele domów. W Santa Rufino pięć osób zginęło pod gruzami. W Aquila, Term, Perugia, Asyżu etc. wiele osób rannych. W Poggio Majano bezpośrednio po trzęsieniu, o g. 1-iej w nocy, ruszyła procesya błagalna, w której wzięło udział 2,000 osób.

Instrumenty w obserwatorium astronomicznym w Collegio Romano w Rzymie oraz w Rocca di Papa przepowiadały z góry te dziwne a straszne zjawiska. Tego samego dnia miało miejsce silne trzęsienie ziemi w Dalmacyi.

Dzienniki włoskie dużo teraz piszą o podróży do Petersburga ks. Wiktora Emanuela i jego małżonki. Podróż nastąpi w Sierpniu.

Od pewnego czasu daje się we Włoszech spostrzegać zbliżenie się do Francuzów. Przed kilku dniami w Turynie, dokąd przyjechali francuzcy myśliwi i śpiewacy, odbyły się manifestacje na cześć gości. Francuzi i Włosi rzucali się sobie w ramiona i całowali gorąco. Wołano: „Eviva Francia“ i „Vive l'Italie!“

W Turynie otwarto obecnie wystawę artystyczną, muzyczną i teatralną włoską; 18 sal przeznaczono dla sztuk pięknych; znajduje się

tam 1,216 przedmiotów. Wspaniała jest sala koncertowa, mieszcząca 4,000 osób; nie brakuje też balonu *capitf*, różnych grot, kopalń, etc.

Włochy obchodzą niedawno setną rocznicę urodzin Leopardiego, wielkiego swego poety; uroczystość odbyła się w różnych miastach ze współudziałem licznych uczestników.

K. R.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg)

Noc nastała wreszcie, ciemna i wietrzna. Na zamku panowała głęboka cisza, nigdzie nie słychać było żadnego ruchu, ni szmeru, wszystkie światła pogasły, prócz jednego — w komnacie arcyksięcia. Tam przepiłowana już była w oknie krata, a do niej uwiązana gruba lina.

— Musicie, miłościwy panie, wziąć na siebie to przebranie, — rzekł marszałek, podając arcyksięciu ubiór mieszczanski, — inaczej snadno by na wás w drodze zwrócono uwagę.

Maksymilian wyszedł i wkrótce powrócił przebrany za prostego mieszczanina. Umówionem było, że pan Jan pierwszy miał spuścić się przez okno po linie i przeprowadzić następnie arcyksięcia przez furtkę w murze, którą miał im otworzyć jeden ze służby zamkowej, oczywiście przepukiony przez marszałka. Tam już czekały konie, aby ich unieść ku granicy szląskiej.

— A cóż z wami będzie? — spytał Maksymilian Zborowski.

— Jak się zdarzy, — odparł ten. Nie myślcie o mnie, miłościwy panie — myślcie o sobie. Lepiej nawet jeśli zostaną, bo i wam będzie łatwiej uciekać i ja może będę mógł przez czas jakiś uspić ich czujność, by zbyt wczesnie nie dostrzegli waszej ucieczki.

— A czy lina mocno uwiązana? — spytał Maksymilian, z pewnem niedowierzaniem przypatrując się powrozowi, który wisiał, kołysząc się od wiatru.

— Mocno, miłościwy panie, — odrzekł pan Jan — sam ją przywiązywałem.

— A no, to idź waszmość pierwszy, w imię Boże, — rzekł wreszcie marszałek. A pamiętaj, gdy już staniesz na ziemi, pociągnij za linę, by nam dać znać o tem.

— Dobrze, panie marszałku, — odrzekł pan Jan, a stanawszy na framudze okna; chwycił się za linę i począł się spuszczać na dół.

— Życzę waszmości szczęścia! — rzekł za nim marszałek półgłosem.

On tymczasem zawieszony już był w powietrzu i kołysał się nad przepaścią; wiatr targął linę na wszystkie strony, a rzeka pluskała tam gdzieś w dole, jakby gotowała się pochłoniąć go w swych zimnych falach, a gdy zapomniawszy w pierwszej chwili, że niemożna patrzeć w dół, spojrzął w tę ciemną otchłań, roztwierającą się u jego stóp, zakręciło mu się w głowie odrazu i byłby spadł, gdyby ostatnim wysiłkiem nie uczeplił się silnie sznura. Po przejściu tej chwilowej słabości, począł się znów spuszczać raźnie, nie patrząc już pod nogi, ale w górę, gdzie widział wieżycę zamku, tonące w niebiosach.

Wreszcie stanął na ziemi szczęśliwie i chciał już pociągnąć za koniec liny, lecz oto w oknach zamkowych zabłysły nagle liczne światła i widać było postacie ciemne, przesuujące się na

— A co wam tak o to idzie, panie Harasowski?— spytał Abramko, który dotąd nie odzywał się ani słowa, tylko słuchał uważnie.

— Bo mam z nim jeszcze jeden dawny rachunek niezalatwiony, — odrzekł Harasowski, mrużąc okiem znacząco.

Pan Jan siedział w swoim kącie, nie ruszając się, choć wielką miał chęć teraz wyjść na środek izby istanawszy przed Harasowskim, rzec mu:

— Jestem na usługi. jeśli wola, to możemy zalatwić ów rachunek!

Ale roztropność przemogła. Zrobił już wprawdzie ruch, by powstać z ławy, lecz nagle spokił wzrok Abramka pełen znaczenia i jakby ostrzegający, i to go powstrzymało.

Ale oko Harasowskiego, które właśnie skierowane było w ową stronę, dostrzegło ruch ten. Nagle, nie mówiąc ani słowa, wstał i wielkimi krokami przeszedłszy izbę, stanął przed panem Janem, zajrzawszy mu w oczy. Ten wstał, również wyprostował się i spojrzenia ich skrzyżowały się z sobą jak dwie błyskawice, poczem usiadł znów spokojnie na swoim miejscu. Pan Harasowski zaś cofnął się i podszedł do okna, jakby nad czemś myśląc i rozważając i następnie zbliżył się do Abramka i zapytał go o coś z cicha.

— Czy waś znasz tego chłopca? — spytał go jeden ze szlachty.

— Wcale nie, tylko tak mi się zdawało... bywają nieraz dziwne podobieństwa, — odrzekł pan Harasowski, patrząc wciąż z pod oka na kąt, gdzie w cieniu ukryty siedział pan Jan.

Zdawał się tak czemś zajęty, że nie dopił nawet miodu, który kazał sobie podać przed chwilą, i pożegnawszy się ze szlachtą, odjechał. Ci także, porachowawszy się z Abramkiem za wypite piwo, rozjechali się każdy w swoją stronę.

Abramko wtedy, zamknawszy drzwi od przyległej izby, gdzie była jego rodzina, zbliżył się do pana Jana i rzekł z wyrzutem:

— A nie było to zwierzyć się staremu Abramkowi... Gdybym był was poznał odrazu, byłbym zaprowadził do drugiej izby... Aż skóra na mnie ścierpła, gdy ten Harasowski do was podszedł!

— Dziękuję ci Abramku, żeś taki o mnie troskliwy, — odrzekł pan Jan. — Ale jabym im wszystkim trzem, jak tu byli, dał radę z łatwością...

— Albo myślicie, że on się będzie bił z wami? — odparł Abramko, ruszywszy ramionami. — Czy wiecie, o co on mię pytał? O to czy nie ma drugiego wyjścia; to znaczy, że chce karczmę otoczyć zbrojnymi ludźmi, i wziąć was jak w pułapkę. Ale ja was tak ukryję, że Harasowski was nie znajdzie, choćby pękał...

— Jeszcze raz ci dziękuję, mój dobry Abramku, ale ja się ukrywać nie myślę i nie mam czasu, muszę jeszcze dziś przed nocą być w Bobrowicach...

— A jak oni was po drodze gdzie pochwyca?

— Nie tak łatwo im to przyjdzie, choć odziałem się w sukmanę, ale mam jeszcze szablę przy boku. Bądź zdrów, Abramku, nie zapomnę nigdy, że się tak troszczyłeś o mnie, serdecznie ci za to dziękuję...

— Wola wasza, — jedźcie, kiedy wam się tak zachciało, — odrzekł żyd, rozstawiając ręce, — ale ja wam powiadam, że napytacie sobie biedy... Wielka mi będzie wtedy pociecha, że o mnie będziecie pamiętać gdzieś na dnie wieży! Aj, waj, to bardzo kiepski interes, — dodał z westchnieniem.

Pan Jan wyszedł tymczasem, by osiodłać swego konia; Abramko poszedł za nim, wołając:

— Panie poruczniku, ja przyszlę zaraz mego chłopca, to on wam osiodła konia, nie godzi się, żebyście sami to robili...

— Abramku, zapominasz, że ja chłop teraz, a nie porucznik dragońskiej chorągwi, — odrzekł mu pan Jan z uśmiechem, — pamiętaj o tem, bo inaczej mię zdradzisz...

— Aj, waj, albo wy myślicie, że kogokolwiek, choćby maluśkie dziecko, oszukacie swoim prze-

braniem? Tak wy podobni do chłopca jak ja do hetmana...

A śledząc każdy ruch jego, mruzczał wciąż jakby do siebie:

— A jakże, a jakże, — właśnie tak chłop wygląda! A i ta szabla, co ją widać z pod sukmany, to także po chłopsku?

Pan Jan przez ten czas osiodłał swego konia i wyprowadził na podwórze:

— Cóż robić, mój Abramku, nie tak łatwo zrzucić z siebie szlachecką skórę, jak ubranie, — odrzekł, wskazując na siodło. — Stój! — krzyknął na konia, który oglądał się czegoś niespokojnie. — Powiedz mi, ty Abramku, — ciągnął dalej, — czy niema tu jakiej innej drogi, bocznej, bo nie chcę jechać gościńcem...

— Jak niema być, jest, — odrzekł Abramko. — Jedźcie tędy, koło tego, hen, lasku, a tam dalej mostek i figura...

— Już teraz wiem, — odrzekł pan Jan, skinawszy głową. Poczem obejrzał jeszcze szablę w pochwie i poklepał po szyi konia, który wciąż się czegoś oglądał i strzygł uszami.

— Co on się tak stracha? — spytał Abramko. — (Oj, to niedobrze...

— Płochliwy, ale dobrze chodzi, — kupiłem go dziś rano w Bełżycach od dragona królewskiego. Na tym przynajmniej dostanę się do granicy szląskiej, ale na tamtym, którego miałem wczoraj, można było wlec się miesiąc cały, — wszystko jedno jakbyś jechał na tej krowie, co się tam oto pasie...

— Ja się tylko dziwuję, że was dotąd gdzieś nie przyłapali, — odrzekł Abramko, kręcąc głową. — Macie niby być chłopem, no, a siedzicie tak na siodle, jakbyście jeszcze mieli pod swoją komendą całą chorągiew dragonii... Ale jedźcie, jedźcie, bo ja się boję okrutnie, czy ten Harasowski gdzie tutaj nie węszy w bliskości...

— Bądź zdrów, Abramku, — odrzekł pan Jan, podając mu rękę z konia. — Kto wie, czy się zobaczymy kiedy, ale nie zapomnę twojej życzliwości, którą mi okazałeś.

To rzekłszy, ruszył z miejsca i niebawem zniknął w cieniach zapadającego wieczoru.

Jechał przez rozciągające się przed nim puste pole, po którym wicher marcowy uganiał się, zawodząc przeciągle, i obraz ten odpowiadał zupełnie terazniejszemu jego usposobieniu. Życie stało przed nim tak samo ciemne i samotne jak owa droga w tej chwili; nic nie widział przed sobą, nic, prócz mroku i pustki...

— I cóż masz w zamian za to coś utracił? — pytał sam siebie w rozgorzyczeniu. — Czemu była w istocie owa sprawa, dla której wszystko poświęcił? Widniał-li przed nią jakiś cel wielki? Nie, była to raczej walka, wywołana przez ambitnych wichrzycieli, pragnących osiągnąć najpierwsze miejsce w kraju. Trzeba było niesłychanej ślepoty i niedoświadczenia, by tego nie spostrzedz odrazu! I ten to obłąd chwilowy miał teraz przepłacić stratą wszystkiego co swoje, i stratą tych nadziei i upojeń, które od niedawna nosił w duszy...

Szalony, stokroć szalony! powtarzał sobie. Stryj miał słusność, okazując się tak surowym, zasłużyłem na to!

Przypominał sobie ów dzień, w którym jechał ostatni raz do Bobrowic, i kiedy miał ową rozstrzygającą rozmowę ze stryjem. Rok zaledwie upłynął od tego czasu, a jak daleko już zaszedł!... I w nim i dokoła niego wszystko się zmieniło: wtedy był jasny, słoneczny dzień wiosenny i w jego duszy był zapal i ta nieopatrzna swoboda młodości, która z zamkniętymi oczyma rzuca się w objęcia życia; — a teraz? Dokoła siebie widział tylko pustkę, mroki, a szum wichru wtórzył ponuremu smutkowi jego serca...

Gdy tak rozmyślał, spuściwszy głowę na pierś, usłyszał w pobliżu jakiś szelest. Znajdował się właśnie koło owego lasku, niedaleko figury; droga była wązka, obrosła z obu stron krzewami, koń zaczął znów strzydzić uszami i chrapać, gdy nagle z za krzaka rozległ się wystrzał a następnie dały się słyszeć krzyki:

— Hej, bierzcie go! Łapaj! chwytaj!

Kula przeleciała panu Janowi tak blisko głowy, że otarła mu skronię; nie zważał jednak na to i wspiąwszy konia, skoczył naprzód, roztrącając dwóch przeciwników, którzy zabiegli mu drogę. Szczęściem byli pieszo i nie mogli go ścigać, lecz trzeci, wyskoczywszy z za krzaka, chwycił jego konia za uzdę ale on wtedy dobył szabli i ciał go przez łeb, tak że puścił go odrazu i powalił się z jękiem. Tymczasem pan Jan, korzystając z chwili zamieszania, wypuścił konia w całym pędzie i wkrótce zdaleka już tylko słyszał za sobą okrzyki i przekleństwa.

— Niedołęgi, gamonie, wypuścili go z rąk! — zawołał jeździec, który ukazał się teraz na drodze, i w którym łatwo można było poznać pana Harasowskiego. — Żeby was czarci porwali! — kłął ze złością, podczas gdy pacholki podnosili swego jęczącego towarzysza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kobiety w Indyach.

Ktoby chciał po dokładnem nawet zwiedzeniu Indyj, opisać życie i warunki bytu kobiet tamtejszych, natrafiłby musiał na trudne do przezyciężenia przeszkody, ponieważ przedstawicielki sfer wyższych, małżonki lepiej położonych obywateli państwa Indyjskiego, dla obcych oczu widzialnymi nie są. Pałankin szczelnie zamknięty, lub odgłos orkiestry, przygrywiającej za wysokim ogrodzeniem pałacu, zdradzają bliższą obecność niewiasty. Zasłony jednak nigdy się nie usuwają; Indyanka tak jest ukryta przed światem, że tylko radża, jej małżonek, może oglądać jej oblicze. Inne zaś kobiety, jak: służące, zamiataczki, roznosicielki ciężarów i t. p. parasy, odziane w białe lub czerwone szmaty, są to istoty tak różne od naszych kobiet europejskich, iż należałoby je zaliczyć do jakiejś odrębnej kategorii istot, w rodzaju lalki albo zwierzęcia roboczego.

Indye, wielkie Indye, od czasu jak zostały zawładnięte przez Europejczyków, zdają się coraz bardziej tracić swą pierwotną barwę lokalną. Są one tak rozległe, podzielone na tyle różnorodnych państw, tyle obejmują religij i odmiennych obyczajów, iż niepodobna mówić o ich mieszkankach w jednym, ogólnym opisie. To wszakże można o kobietach tamtejszych powiedzieć przedewszystkiem, że są one wrogie wszelkiej cywilizacji i przywiązane do wyznawanej przez siebie religii, oraz do wszystkiego, do czego od wieków przywykły.

Nie przeszkadza to jednak, aby się nie udawało kupcom europejskim wprowadzać coraz więcej wyrobów angielskich lub niemieckich, powoli nawet materyały z Europy wypierają dawne, lekkie jak powiew wiatru, jedynie przez tuziemki używane, tkaniny indyjskie.

Podczas mojej długiej podróży po Indyach, dwie tylko widziałem kobiety indyjskie tak piękne, jak je opiewa poeta Kushru. Jedną spotkałem w Bownagar, udrapowaną w jakąś różową tkaninę, z odkrytą pierśią i obnażonymi do ramion rękami. Czerpała wodę w naczynie miedziane, lśniące jak złoto. Prawe ramię delikatne i przepyszne kształtu podtrzymywało owo naczynie, lewem w takt kroków poruszała rytmicznie. Skóra brunatna, prawdziwie indyjskiego odcienia, skąpaną była w promieniach jasnego, palącego słońca; na nogach powyżej kostek miała ciężkie ołowiane bransolety, tak zwane *nouparas*, a na każdym palcu u nogi pierścionek. Mimo tego, szła lekko, swobodnie, ruchy miała tak miękkie, zręczne, iż wydała mi się prawdziwym wyobrażeniem piękności i wdzięku.

Drugi typ cudnie pięknej Indyjki widziałem aż w Himalajach. Ta była prawie biała; pyszne czarne spłoty, skręcone w drobne zwoje, okalały oblicze, jakby ze starożytnych kamei wyjęte. Lekko i wdzięcznie udrapowana, miękka jakaś, niebieskawa płachta spływała w harmonijnych fałdach, pozwalając podziwiać piękną i smagłą budowę. Była to muzułmanka, która nie powinna była odsłaniać swej twarzy, lecz zgubiwszy wśród licznych przesmyków górskich jedną ze swych kóz, aby ją łatwiej dojrzeć, czy zawołać głośnie, odrzuciła spadającą na twarz zasłonę. Na mój widok opuściła ją i stanęła nieruchoma na odłamie skały, a na tle tych przepysznych gór, obłanych niebieskawym światłem, spływającym z jasnego lazuru, wyglądała jak bogini w marmurze wykuta.

Aby spotkać tak piękną kobietę, trzeba dotrzeć daleko, aż pod Himalaje; kobiety, które spotykamy na ulicach Bombaju czy Kalkuty, są po większej części mizerne, niezgrabne i brudne, piękne zaś i wytwornie ubrane siedzą zamknięte w komnatach albo w palankinach.

W Bombaju stanowią wyjątek kobiety należące do plemienia Parsów, są one bardzo światowe, tworzą niejako wyższą sferę handlową i przyjmowane są wszędzie, gdzie drzwi przed pieniędzmi stoją otworem.

Ukazują się z twarzą odkrytą, zachowując jednakże przesliczny strój miejscowy, powiewny jedwabny muślin otacza postać całą jakby leciuchnym obłokiem. Przepasana wstęgą, naszyta złotymi i srebrnymi cekinami, tkanina owa (saris) formuje spódnicę, krzyżuje się na piersiach, przechodzi przez lewe ramię, aby przykryć głowę, poczem w fantazyjnych fałdach spływa na ramię prawe. Piękny ten strój wszakże coraz bardziej tracić zaczyna ze swego pierwotnego wdzięku. Często damy indyjskie, które mają nader okazałe dochody i tytułowane są na seryo: „lady“, wychodzą z modnych pensyonatów i wprowadzają szkaradne w stroju zmiany, mianowicie pod śliczny fantazyjny „saris“ wkładają szeroką spódnicę, gorset, noszą buciki na wysokich obcasach, niekiedy nawet przypięte włosy.

Tę samą modernizację i naśladowanie Europy znajdujemy i w ich mieszkaniach, zamienionych na bric à brac różnych sprzętów i gracików, szpecące typowe, dawne indyjskie białe, obszerne komnaty.

Kobiety Parsów pozornie prowadzą życie na sposób europejski. Składają i przyjmują wizyty, bywają w teatrach, na spacerach, lecz na tych kilku zewnętrznych cechach zasadza się całe podobieństwo. Religia Parsów jest zbiorem praktyk, często odrażających dla cywilizowanych ludzi. Najbliższa np. krewna zmarłego ma obowiązek uprać mu suknię na ostatnią podróż do wieży milczenia, oblec go i ułożyć na noszach. Owe wstrętne wieże milczenia służą zamiast grobów na równi dla każdego, bez względu na położenie społeczne i majątkowe nieboszczyka. Każdy musi być pozostawiony na łup sępów i innych stworzeń, dopóty, aż pod skwarem promieni słonecznych wysuszonych resztek wiatr nie rozniesie.

Ceremonia zaślubin u Parsów, jest wielce malownicza i poetyczna, choć może nieco dziecinna. Narzeczony, który przynosi ryż i orzechy kokosowe, zostaje ze swą oblubienicą związany przez młode dziewczęta szalem, będącym u Indyjczyków symbolem szczęścia i rozwoju. *Dastur* (kapłan — czciiciel ognia) wśród wonnych kadzideł sypie na państwo młodych deszcz ryżu i odmawia nad nimi modlitwy. Małe chłopcy i dziewczęta za chłopców poprzebierane śpiewają podczas ceremonii głośno, bijąc w tam-tam.

Parsowie, jestto rasa ludzi zręcznych, smukłych i giętkich. Muszą oni posiadać wiele wrodzonego sprytu, albowiem pogardzani przez Hindusów, pozostający u nich przez lata całe w poniewierce, umieli jednak owładnąć tak dalece handlem i fabrykacjami miejscowymi, że dziś wszystkie gałęzie przemysłu i handlu są w ich rękach. Przybyli przed paroma wiekami, znaleźli przytułek u radży Gujeratu i zdołali w krótkim stosunkowo czasie rozciągnąć swe sieci na całe Indie, zagarnęli handel i wszelakie zyski. Umieją też i z gry korzystać szczęśliwie.

Zajęcia domowe i prace uległy w Indyach dziwnemu podziałowi. Mężczyźni piorą, szyją, haftują nawet, kobiety dźwigają materiały przy budujących się domach, zamiatają ulice, tłuką ziarna i wieczorami dopiero widzieć je można zajęte robotą właściwą kobietom. Wtedy to jednak zauważyć łatwo, jak im takie zajęcia idzie niesporo. Przy gotowaniu, posługiwaniu się jakimś domowym sprzętem, niezgrabne i niezgrabne są jak dzieci. Te znów czepiają się matek i przyczepione do ich bioder, utrudniają im jeszcze swobodę ruchów.

Ruchem charakterystycznym każdej Hinduski jest bezprzerwane prawie poprawianie zasłony, twarz pokrywającej. Noszenie bajecznej ilości świecideł, trzech, czterech par kolczyków, pierścieni, bransolet na rękach i nogach, czyni je sztywnymi, jakby w żelaznych poruszających się okowach. Jedynie te kobiety z ludu, które są tak biedne, iż nie mają za co kupować świecideł, zachowują ruchy wdzięczne i miękkie.

W kobiecie indyjskiej nietylko umysł jest uśpiony, lecz i uczucia u najprostszycy ludzi cywilizowanego świata rozwinięte, także są w niej w uśpieniu; pozostaje niewzruszoną tam, gdzie każdy okazywałby żal, gniew, oburzenie najwyższe, krzyczący zaś czasem przeraźliwie w obec drobnych wypadków, które nawet nie zwróciłyby mej uwagi. Szczerze płaczące widziałem tylko bite dzieci. Śmierć najbliższych przyjmowaną jest przez kobiety indyjskie spokojnie, prawie obojętnie. Spełniają przy zmarłym obowiązki nakazane przez religię z apatyą, z której rzadko kiedy coś je poruszy. Jedynym objawem żalu jest monotonna, nużąca skarga, której się zawczasu wyuczają, a należąca także do rytuału kościelnego.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— W Towarzystwie wyścigów konnych na posiedzeniu jesiennym ma być poruszona myśl przeznaczenia nowych funduszy na wystawy rolnicze. W r. z. na ten cel przeznaczono 20,000 rb., z tej sumy wydano 7,000 rb. na wystawę zeszłoroczną, a do tegorocznej, pomimo dość znacznego dochodu z biletów, dopłacono 4,000 rb. Pozostało się więc jeszcze 9,000 rb. na wystawę w r. p. Być może jednak, że Towarzystwo przeznaczy pewne zasłki dla wystaw prowincjonalnych, zgodnie z powszechnym życzeniem ziemian.

— Ministerjum skarbu zatwierdziło w d. 22 Czerwca ustawę nowej prywatnej szkoły han-

dlowej p. G. Chankowskiego w Warszawie. Szkoła należy do rzędu szkół handlowych z kursem 2-letnim. Przy szkole otwarta będzie klasa przygotowawcza. Do klasy pierwszej przyjmowani będą uczniowie, posiadający świadectwa z ukończenia szkoły 3-klasowej miejskiej. Opłata wyczenia szkoły 3-klasowej 75 rb., w innych klasach 100 rb. Koszta utrzymania szkoły ponosi założyciel.

— Jeden z pedagogów warszawskich czyni starania o założenie w Łomży progimnazjum czteroklasowego. Zakład ma być o kierunku filologicznym i zadaniem jego będzie przygotowywanie młodzieży do wyższych klas gimnazjalnych.

— We wsi Grodkowo-Zawisze w pow. Sierpskim, mieszka chłop nazwiskiem Klos, który liczy sobie 108 lat wieku; Klos jest zupełnie zdrow, czerstwy i przytomny na umyśle, ale nie zajmuje się już niczem.

— W uniwersytecie warszawskim egzaminy powakacyjne rozpoczną się: na wydziale prawnym w d. 6 Września; na wydziale lekarskim w d. 13 Września. Wszystkie egzaminy ukończone będą w d. 19 Września, od d. 21 bowiem tegoż miesiąca rozpoczną się już wykłady na wszystkich wydziałach uniwersytetu. Podania o przyjęcie do uniwersytetu składać należy na ręce rektora uniwersytetu warszawskiego do d. 21 przyszłego miesiąca.

— Teatr Łódzki zjeżdża do Warszawy, gdzie dawać będzie sztukę p. t. „Lygia“, zaczerpniętą z głośnej powieści Sienkiewicza „Quo vadis?“

— W tych dniach otworzono w Warszawie trzecią już kancelaryę porady prawnej dla osób niezamożnych. Do składu jej należą adwokaci przysięgli: Brzeziński, Jurkowski, Kronenberg, Lewy i Zborowski. Kancelarya mieści się przy ulicy Żabiej pod nr. 3.

— Akt darowizny miejscowości, zwanej Królikarnią, za rogatką Mokotowską, zdziałany przez hr. Zygmunta Pusłowskiego, na rzecz Towarzystwa opieki nad nieuleczalnie chorymi, przedstawiony został do zatwierdzenia ministerjum. Tymczasem zaczęto odnawiać dom w Królikarni, przeznaczony na przytułek, i ułożono budżet roczny w sumie 12,000 rb. na umieszczenie początkowo 40 chorych. Dla pokrycia wydatków tych Towarzystwo zamierza uciec się do ofiarności publicznej.

— Sprawę dostawy 6 nowych maszyn parowych dla wodociągów warszawskich, rozstrzygnięto już dostatecznie. Pomimo protestu izby obrachunkowej i kilku członków komitetu kanalizacyjnego, komitet po zasięgnięciu zdania rzeczoznawców, postanowił zgodnie z pierwotnym projektem p. Lindleya, dostawę maszyn owych powierzyć firmie saskiej Hartmana.

— Szkoła średnia mechaniczno-techniczna, pozostająca pod kierunkiem p. Mittego, otrzymała w darze od p. A. Repphana motor parowy nowej konstrukcyi, o sile 20 koni parowych, który będzie służył do poruszania szkolnych warsztatów mechanicznych i dynamo-maszyny dla oświetlenia elektrycznego.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 7 i 8 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

Treść: Zapomniany śpiewak miłości, przez Antoniego Pileckiego. — Święta sosna, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Pocieszenia. Opowiadanie, przez Aleksandrę Łapińską. — Z Rzymu, przez K. R. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-eh częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Kobiety w Indyach, przez S. — Z bieżącej chwili.

Dotatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkusz 7 i 8. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 26 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.